

Antyfaszystowski Kodeks Pracy?

28 marca 2013

Tradycyjnie, gdy bezrobocie skacze w górę rząd wpada na pomysł przykręcenia śruby pracownikom. W tym duchu najnowsza propozycja nowelizacji Kodeksu Pracy dereguluje czas pracy. Wprowadza 12-miesięczy okres rozliczeniowy co oznacza, że pracodawca będzie mógł zmusić pracownika do pracy przez 12 godzin dziennie od poniedziałku do soboty nawet przez 28 tygodni, czyli ponad pół roku. Jak zauważyli związkowcy z Solidarności „w skrajnym przypadku, jeśli zbiegną się dwa okresy rozliczeniowe, może to trwać nawet 56 tygodni, czyli ponad rok.” Co więcej pracodawcy nie będą musieli płacić za nadgodziny. Czy trzeba lepszego dowodu na to, że polityka degradacji polskich pracowników coraz bardziej zaciera różnicę między zatrudnionymi na etat, a wyzutym z praw pracowniczych prekariatem?

Lewica polska zarówno ta parlamentarna jak i część pozaparlamentarnej nie zwraca sobie tym głowy. Ma ważniejsze sprawy – walkę z faszyzmem zakłócającym wykłady Adama Michnika i Magdaleny Środy. W jej toku ujawnia jednak wszelkie swe słabości. Już kilka miesięcy temu pojawiły się pomysły zaostrożenia kar za mowę nienawiści – równie reakcyjne jak poglądy Michnika i Środy. Dziś natomiast, ignorując sytuację społeczno-ekonomiczną, w której dochodzi do faszystowskiego ożywienia, bezkrytycznie powtarza się opowieść o kibolach, moherach, ciemnogrodzie.

Społeczeństwo najwyraźniej nie spełnia oczekiwań części lewicy. A może jednak jest odwrotnie? Być może lewica nie ma społeczeństwu nic do zaproponowania poza połajankami, że źle się prowadzi, ma skłonności klerykalne, homofobiczne i antysemityczne? Nie racząc zauważyć, że wyłączenie z więzi społecznych, bezpieczeństwa, solidarności, godności i

spójności terytorialnej narzucane przez neoliberalny kapitalizm, które skutecznie eksploatuje prawica powinno być problemem także dla lewicy. I to nie instrumentalnie, żeby wytrącić prawicy oręż, ale jak najbardziej podmiotowo – bo walka o te kwestie jest walką o materialne warunki wyzwolenia.

W ciągu minionych 23 lat neoliberalizm przy obojętności lewicy zdezwuował robotników, ośmieszył związkowców, opluł chłopów, zdeprecjonował bezrobotnych i biedotę, odebrał godność pracownikom. Powszechny konsens dopuszcza i promuje jeszcze tylko jeden rodzaj świadomości zbiorowej – tożsamość narodową i dlatego dla wielu ludzi stała się ona atrakcyjna jako pole dla afirmacji własnej godności, a zarazem sprzeciwu wobec globalnego kapitalizmu. W warunkach pogłębiającego się kryzysu tę drugą funkcję chętnie wykorzystują narodowcy.

Jaki z tego wniosek? Taki, że czas już zerwać z prymatem kulturowej wojny na tożsamości lepsze (mniejszościowe) i gorsze (narodowe), i odzyskać walkę o równość ekonomiczną toczoną przeciw utowarowieniu, które uderza w nas w poprzek podziałów tożsamościowych. [1] Wbrew pozorom lewicowe obrażanie się na naród i wojowanie z nim na frontach mniejszościowych oznacza przyjęcie reguł narzucanych przez prawicę, która chciałaby mniejszości wykluczyć ze świętego ciała narodu. Prawdziwa alternatywa polega na zmianie terenu walki.

I tu pojawia się problem wiarygodności części lewicy. Na przeszkodzie stoi tu dziś nie tylko Leszek Miller, ale także NGO-izacja – transformacja sporej części lewicowych aktywistów społecznych w pracowników organizacji pozarządowych, tracących czas na realizację różnych programów edukacyjnych, integracyjnych czy kulturalnych, których założeniem jest lepiej dostosować wykluczonych do warunków ich wykluczenia. W porównaniu z nimi narodowcy wydają się czyści i antysystemowi. Taki przynajmniej mają wizerunek i skutecznie go sprzedają.

Prawica przejęła lewicowy dyskurs protestu społecznego nie

bojąc się, że szczerwienieje. Tymczasem niektórzy autorzy lewicowi wciąż nie posiadli zrozumienia dla wagi kwestii narodowej traktując ją nie jak obiektywny fakt społeczny tylko jak wymysł kilku etnicznych fanatyków, mizoginów i księży. Niestety takim zaklinaniem rzeczywistości trudno cokolwiek zdziałać.

W Polsce jako kraju półperyferyjnym kwestia niepodległości (narodu, a nie państwa) będzie wracać. Lewica może ją ignorować i zamykać się we własnym ideologicznym imaginarium, ale nie może wtedy mieć pretensji do odgrywania sprawczej roli politycznej w kraju, w którym kapitały i interesy obcych mocarstw wespół z kompradorskimi elitami lokalnymi narzucają brutalną regresję społeczną. A przecież właśnie taka sytuacja obiektywnie działa przeciw nacjonalistom. Nazwanie jej po imieniu dowodzi, że podział nie biegnie między swoimi a obcymi, ale między wyzyskiwaczami i wyzyskiwanymi. Zmusza to do reinterpretacji niepodległości w kategoriach walki z nierównością w skali międzynarodowej (imperializm) i krajowej (wyzysk).

W Europie fala skrajnej prawicy podniosła się w 2010 r. w kontekście kryzysu. Opadła w rok później zalana o wiele wyższą falą mobilizacji społecznych – strajków, demonstracji, okupacji placów miejskich – o jednoznacznie lewicowej orientacji, choć w żadnym razie nie partyjno-lewicowej proveniencji. Faszyści we Włoszech, Francji, Hiszpanii i Grecji przegrali walkę o ulice i na ulicy. Warto pamiętać, że celem zwycięskich Oburzonych i okupantów nie było zaostrzenie przepisów przeciw mowie nienawiści, ale sprawiedliwość społeczna i demokracja.

Dlatego jeżeli polska lewica chce się przeciwstawić faszyzmowi powinna wytoczyć działa przeciw deregulacjom Kodeksu Pracy. Najlepszą metodą na skrajną prawicę jest solidarność. Ta z małej litery.

Autor: Przemysław Wielgosz

Źródło: [Le Monde diplomatique – edycja polska](#)

[1] Rzecz jasna nie chodzi tu o naiwne próby przemawiania do klasowego instynktu uczestnikom marszów NOP czy ONR. Kiedy już dochodzi do takich marszów potrzebne są zupełnie inne argumenty.